

po prostu

TYGODNIK STUDENTÓW I MŁODEJ INTELIGENCJI

JERZY AMBROZIEWICZ

Niebłahy problem kilku języków

W czasie Festiwalu bardzo często prowadziliśmy rozmowy z obcokrajowcami na mi-
gi. Wyglądało to nie tyle zabawnie
co kompromitująco, szczególnie
wówczas, gdy w ten sposób „roz-
mawiali” studenci lub ci, którzy
niedawno ukończyli wyższe uczel-
nie.

Festiwalu wprawdzie prędko w
Polsce nie będzie, ale przecież nie
tylko na takie okazje potrzebna jest
ludziom mającym dyplomy wyższe-
go wykształcenia znajomość języków
obcych. Nie odkryję tajemnicy skro-
ro powiem, że absolwenci naszych
uczelnii w większości wypadków nie
znają ani jednego obcego języka.
Nie jest to oczywiście zjawisko
chlubnie świadczące o polskich u-
czelniach, ale znajdujące pełne u-
sprawiedliwienie w systemie stu-
diów lat 1948—53.

Kto pamięta studia z tego okresu
wie doskonale, że języki obce
wprawdzie na wielu uczelniach
wchodziły do programu nauczania,
ale nikt nie traktował tego na se-
rio. Pod słowem „nikt” mieścił się
szeroki wachlarz ludzi i instytucji,
a więc MSW, władze uczelni, dzie-
kanaty, wreszcie profesorowie i sami
studenci.

Lektoraty uważane były za przed-
mioty niższego rzędu nawet od za-
jęć wychowania fizycznego i trak-
towane je jak zbędny balast, lub
pałające się piąte koło u wozu.
W Ministerstwie Szkolnictwa Wyż-
szego brakowało do 1952 roku
jakiegokolwiek referatu czy komor-
ki kierującej nauczaniem języków
obcych. Nikt się tą sprawą nie zaj-
mował również w senatach uczelni
i radach wydziału. Jeśli lektor u-
zgodniał z kimś program nauczania
i godziny zajęć to najwyżej z sekre-
tarkami dziekanatu.

Jaskrawe lekceważenie języków
obcych było wynikiem ówczesnego
systemu studiów. Jasne jest, że
nikt nie będzie uczył się języków
tylko po to, by je umieć. Muszą
być one konieczne w codziennym
życiu, by zrodzić potrzebę ich nauki.
A przynajmniej: studentowi w tam-
tym okresie znajomość rosyjskiego,
francuskiego, niemieckiego czy an-
gielskiego była potrzebna w równej
mierze... co tysemu grzebień.

Któż tam sięgał wówczas do tek-
stów oryginalnych, literatury obcoję-

zycznej. Wystarczyło, że profesor lub
asystent zreferował teorię tego czy
innego ekonomisty, filozofa czy hi-
storyka. W najlepszym wypadku moż-
na było zajrzeć do wrywkowych
tłumaczeń lub cytatów tych naukow-
ców w popularnych broszurkach. Na
takim materiale dysutowało się
o Sartrze, amerykańskich pragmatys-
tach, neotomistach, a nawet Lysen-
ce.

Potem wszyscy naraz zaczęli się
dziwić skąd u naszej dobrej mło-
dzieży wzięło się szkolarkstwo, wku-
wanie, bezmyślność. Tylko jakoś
nikt się nie zastanowił, że na cyta-
tach i wiadomościach przeżytych
przez innych nie można opierać
studiów. Przy szczupłej np. literatu-
rze w języku polskim szczególnie nie
do pomyślenia były poważne studia
na uczelniach technicznych.

Któs tu może powiedzieć, że w
tamtym okresie przy 50 godzi-
nowej siatce zajęć trudno było po-
myśleć nawet o czerpaniu wiedzy z
pierwszej ręki i czytaniu literatury
zagranicznej. W tym jest wiele ra-
cji, ale wydaje mi się, że mimo
wszystko kadra nauczająca ułatwiała
sobie zadanie. Zdarzały się wypadki
wstrzymywania przed sięganiem do
literatury obcojęzycznej. Wyplwa-
ło to chyba m.in. ze słabości ideolo-
gicznej naszej kadry naukowej.

Nie byłoby sensu pisać o tym
wszystkim, gdyby sprawy dzisiaj
wyglądały jaskrawo różnie. Trzeba
przynajmniej, że zmieniło się wiele. Naj-
więcej w Ministerstwie, dużo we
władzach uczelni, mniej w postawie
profesorów a chyba nie w stosunku
samych studentów do lektoratów.

Jest nareszcie w MSW odpowie-
dzialny za te sprawy dr Białecki,
który w trzyletnim okresie pracy do-
konał wielkich zmian. Powstały studia
języków obcych. Zgrupowani w
nich lektorzy mają ścisły kontakt z
uczelniami, pracują od dwóch lat we-
dług ustalonych programów. Myśli
się nad zmniejszeniem grup studen-
ckich do dziesięciu osób, wydawa-
niem podręczników i skryptów. Je-
dynie szczupłość sal nie pozwala na
prowadzenie lektoratu dwa razy w
tygodniu. Ale jednocześnie w Mini-
sterstwie nie wyzbyto się dotych-
czasowego traktowania lektorów ja-
ko kadry niższego rzędu. W uposa-
żeniach (1050 zł miesięcznie za 18
godz. zajęć tygodniowo) zrównano
ich z nauczycielami szkolnictwa
średniego i wychowania fizycznego.

Podwyżka płac personelu naukowe-
go objęła wszystkich profesorów i
tylko lektorzy już od roku czekają
cierpliwie na swoją kolej. Skoro
mowa o sprawach wynagrodzenia
to warto dodać, że PWN płaci za
arkusz drukarski skryptu języka ob-
cego 750 zł, a za taką objętość było
jakiej broszury w innym wydawnic-
twie otrzymuje się 1500 zł.

W tych warunkach lektorzy ma-
jący pełne, wysokie kwalifikacje
zmuszeni są szukać dwu i więcej
posad, a tego, że odbija się to na
jakości prowadzonych przez nich
zajęć, nie trzeba chyba nikomu
tłumaczyć.

Na nie zdadzą się jednak wszelkie
organizacyjne pociągnięcia Minister-
stwa, wysoki poziom lektoratów,
skoro profesorowie i asystenci nie
będą wymagać w codziennych stu-
diach znajomości języków obcych.
Dopiero wówczas, gdy na wyższej
uczelni pełne zastosowanie znajdzie
literatura zagraniczna, będzie można
mówić o naukowym charakterze
pracy studentów. Jest to konieczne
potrzebne zarówno humanistom, e-
konomistom jak i studentom uczel-
ni technicznych.

Będzie to wymagało od niejednego
pracownika naukowego własnych
studiów nad językiem. Trudniej bę-
dzie prowadzić ćwiczenia i semina-
ria, gdy studenci przyjdą na nie ze
znajomością całych niejednokrotnie
błędnych teorii naukowych. Ale tyl-
ko wówczas studia nie będą przezu-
waniem zasłyszanych na wykładach
prawd i urywkowych cytatów. Do
myślenia i dyskusji nie trzeba bę-
dzie wówczas nikogo zapraszać.

W takiej atmosferze lektoraty bę-
dą mogły spełnić swoją rolę — po-
mocy w nauczaniu języków obcych.

Czy można przy obecnej znajo-
mości języków wprowadzać taką
metodę studiów? Wydaje mi się, że
nie tylko można, ale koniecznie trze-
ba. Jasne, trudno będzie w pierw-
szym okresie sięgać do tekstów po-
ważnych, ale przecież nikt nie mó-
wił, że studia to rzecz łatwa, i
czymś przecież w końcu muszą się
one różnić od szkoły średniej.

(Dokończenie na str. 6)

WIESŁAW GÓRNICKI

W NUMERZE:

JERZY ANDRZEJEWSKI — Ucieczka (dokończenie)
ANDRZEJ OSEKA — Formalizm czy ideowość
KRYSTYNA SOKOŁOWSKA — Metamorfozy czy dogmatyzm
DANUTA SOSNOWSKA — Gdy marnuje się cenne kadry fachowców
MAREK HŁASKO — Rzeka cierpienia
JAN SZTAUDYNGER — Nowe fraszki

Nr 32 (341)

9. X. 1955

Cena 35 gr



„CZARNY SZKLARZ — OBROŃCA WOLNOŚCI”

Andrzej Zaborowski (olej) 1955

GRYGOŁ ABASZYDZE

Tłum. E. Żytomirski

tygrys i merani

1

W życiu gruzińskim był zawsze ogień i szcęk był konnicy.

Były cierpienia i pasja, były merani i tygrys.
Jeździec na wszystkim gotowy jak tygrys wściekły z miłości...
W ucieczce przed czarnym losem — i nieugiętość, i zapal.

Licznych herosów waleczności jak ciągły blask błyskawicy.
Życie do skoku tygrysa, lotu merani podobne.
Śmierć przypadkowa wśród bitwy jak w grze szczęśliwy rzut
kości

Były cierpienia i pasja, były merani i tygrys.

2

Świt błysnął w niebie, tygrysią skórą rumienia się góry —
I drgnęły pączki na drzewach, rosa opadła na trawę,
Niby iskrzący się ogród Kartli zbudzona rozkwitła.
Skoki szalone tygrysa sięgają ponad obłoki.
Otwarta bezkresna droga, po której mknął był merani —
Groźne są oczy tygrysa, grzywa rumaka — jak wichur.

Mgłę podmuch wiatru rozpędził, wściekły rozlega się tętent.
W pięknym spotkały się kraja, w Kartli, merani i tygrysi!

Merani — skrzydlaty, kary koń, ulubiona postać ludowych bajek
gruzińskich.
Kartli (Kartalinia) — Centralny rejon Gruzji, nazwa używana nie-
kiedy w sensie szerszym, obejmującym całą Gruzję.

GENERAL WEHRMACHT I TOWARZYSZ LI-SYN MAN

czyli jeszcze o witaminach

Ze Iljia Erenburg „była” o-
statnią kochanką Hitlera. że
w USA panuje ustrój monarchistycz-
ny (królowie węgla i stali), że wre-
szcie Kiereński był psem łańcuchow-
ym imperializmu—to są rzeczy po-
wszechnie znane. Przestaw już bawić
nawet kołtunów, którzy takie wie-
ści przenikające z egzaminów sma-
kują najdłużej. Ale mniejsza o koł-
tunów. Co mówią aktywiści? Są dwa
warianty odpowiedzi. Pierwszy:
„przypadek klinicznej głupoty, jeże-
li naturalnie odpowiada prawdzie”.
Drugi, nieco pogłębiony: „Źródło
trzeba szukać w wadliwej kon-
strukcji programów szkolnych. Nie
jest może zupełnie dobrze z zain-
teresowaniami politycznymi mło-
dzieży ale tak źle też nie jest”.

Więc oto jeszcze trzy „kliniczne”
przypadki, tym razem całkowicie
autentyczne i stosunkowo świeże.

„Piątkowa” uczennica, faworytka
szkoły, zdaje egzamin maturalny.
Jak to się mówi, „śpiewa”. Komi-
sja nie posiada się ze szczęścia.
Pod koniec egzaminu pada pytanie:
czy abiturientka wie coś o sytuacji
w Niemczech zachodnich? — No,
oczywiście, coś za pytanie. Toczy
się tam walka mas pracujących
przeciw Wehrmachtowi. Przykład:

Fakty. Sugestywna relacja w po-
prawnej polszczyźnie, co również
nie jest bez znaczenia. Komisja ma
zamiar uwiecznić na piśmie swój
zachwyt, gdy ktoś niegodziwy pra-
gnie w ostatniej chwili dowiedzieć
się, co to takiego jest ów Wehr-
macht. Odpowiedź pada bez chwili
wahania: hitlerowski generał, zbrod-
niarz wojenny, po wojnie ułaska-
wiony przez Amerykanów. Nie, ża-
dna metafora, skądże. Dosłownie.
Biedna dziewczyna traci głowę:
„Czy naprawdę Adenauer, Ollen-
hauer, Wehrmacht i Krupp to nie
jest jedno i to samo?”

Kandydatka na wydział prawa
pisze pracę egzaminacyjną na te-
mat „Ruchy narodowo-wyzwolen-
cze w Azji”. Mniejsza już o to, że
do państw azjatyckich zalicza Egipt
i Sudan. Mniejsza i to, że konferen-
cji w Bandungu poświęca osiem
słów. Ale komuż nie zbieleje oko,
gdy czyta taki oto passus: „Pod
przewodnictwem towarzysza Li Syn
Mana w Korei Południowej masy
ludowe budują ustrój socjalistyczny
za przykładem ZSRR, ustrój szcze-
ścia i likwidacji wyzysku... W Ko-
rei Północnej proamerykańska kli-
ka Czang Kal-szeka prześladowa-
je uczestników wojny i zdelegalizowała
partię komunistyczną”.

Trzeci przykład spoza sfery egza-
minów. Wziesień 1955. Młody in-

żynier (rok uzyskania dyplomu
1953) mówi w rozmowie: co, Ade-
nauer jedzie do Moskwy?! Niemoż-
liwe! Kiedy, pewno na wiosnę?

No, tak, „kliniczne przypadki”.
Może. Socjalizm likwiduje wyzysk,
ale nie likwiduje idiotów. Też
prawda. Tylko, że żadne z tych tro-
jga nie zasługują — poza cytowa-
nymi odpowiedziami — na miano
idiotów. Znam ich osobiście i mam
chyba prawo to powiedzieć. Czyż-
by więc było aż tak źle?

Uogólnienia są zawsze ryzykowne.
Można jednak twierdzić, że jest
bardzo źle. To jest naprawdę szo-
kujący paradoks, ale nawet teraz,
w dobie wielkich wydarzeń poli-
tycznych, w dobie Genewy, „wi-
zyt moskiewskich i tysięcznych prze-
mian w krajach socjalizmu, zainte-
resowania polityczne młodzie-
ży są zadziwiająco nikłe, niklejsze
niż siedem, osiem lat temu. Nie
jest dla nikogo tajemnicą, że od-
różnienie SPD od FDP i Gujany
od Gwatemali jest na ogół zada-
niem ponad siły młodego pokolenia.
Znasz-li ten kraj — chce się w-
stąpić za poetą — gdzie młodzi
ludzie wyrwywają sobie z rak wia-
domości o rewelacyjnym sierpowym
Drogosza lub porażce CWKS-u, a
nie potrafia często ani słowa po-
wiedzieć o oświadczeniu tow. Chru-
szczowa na lotnisku w Belgradzie?
Gdzie poprawienie rekordu w osz-

czepie o półtora centymetra powo-
duje wicherzenie czupryn i gwałtow-
ne wymiany zdań choć, jako żywo,
nie zmienia losów świata, a na
przykład ulgi i przywileje dla po-
wracających emigrantów, budzące
tyle gorczy i niezadowolenia wśród
środkowego i starszego pokolenia,
znajdują się poza obrębem zainte-
resowań młodzieży...

Posłuchajmy prywatnych dyskusji
— na korytarzach uczelni, na ja-
kichś urodzinach, w domach stu-
denckich, w zakładach pracy.
Chciałoby się znowu słyszeć zacie-
kle dyskusje wypływające z naj-
zwyklejszego zainteresowania, śle-
dzić walkę poglądów, agresywność
młodzieńczych sympatii i pieczęci.
Nie... nic z tych rzeczy. Dobrze, je-
żeli nie gędzi się jeszcze o przysło-
wiowej... Maryni.

Nie mam tu na myśli bierności
tej części młodzieży, która się „nie
miesza”. Myślę o świadomej, ak-
tywnej młodzieży, nierzadko o pra-
cownikach i młodych aktywistach
aparatu ZMP-owskiego różnych
szczebli. O ludziach, którzy z natu-
ry rzeczy powinni pasjonować się
polityką w najszerszym tego słowa
znaczeniu. I właśnie w odniesieniu
do nich szczególnie boleśnie jest
stwierdzać powszechny niemal in-
dyferentyzm, żenujący brak ele-

(Dokończenie na str. 6)

FORMALIZM CZY IDEOWOŚĆ

I

Śród kilku generalnych zarzutów w stosunku do Wystawy Młodych w Arsenale jeden powtarza się najczęściej i jest najsilniej udokumentowany. Chodzi tu o zależność młodych plastyków od kierunków zachodnio - europejskich. Istotnie, są na Wystawie obrazy, przy których można by nie bez racji powiedzieć: Picasso czy El Greco, Emil Nolde czy Matisse. Na wielu płótnach można by odnaleźć elementy środków malarzkich takich kierunków jak kubizm (Gierowski) lub ekspresjonizm (Celnikier). I cóż z tego? Czy mamy prawo żądać, żeby artyści, którzy nie tak dawno opuścili Akademię, którym rok temu nie wolno jeszcze było eksperymentować, nie wolno było szukać nowych dróg w sztuce — raptem ni stąd ni zowąd, bez żadnych inspiracji stworzyli własne, nowe i znakomite pod każdym względem malarstwo? Śmieszność takich pretensji widać jak na dłoni.

Sytuacja — trzeba przyznać — dosyć paradoksalna. Przez pięć lat malowano w jeden uświęcony sposób, produkowano historyjki obrazkowe, bliźniaczo podobne do siebie i do obrazów Gerasimowa. Na Wystawie zaś mamy dziesiątki różnych temperamentów, naprawdę różnych postaw twórczych, własną wizję o prawdach świata przedstawia się tu w sposób na pewno niedoskonały, ale — przeżyty. I znaleźli się ludzie, którzy właśnie teraz uznali za punkt honoru pokazać, co w każdym płótnie jest. „ściągnięte” i z kogo. Możliwe, że dotychczas wszystko było jasne — kto, z kogo i dlaczego.

Przez pięć lat kazano młodym mówić jednym tonem, kazano to, co w nich było najbardziej żywe i buntownicze — wypowiadać tonem urzędników Ministerstwa. Cóż dziwnego, że gdy nakaz został odwołany

zwrócili się po słowa języka artystycznego do artystów? Cóż dziwnego, że młodzi malarze zwrócili się do malarzy młodych — bo nowoczesnych — do Picassa, Matisa i Makowskiego? Cóż dziwnego, że poszukiwania ich poszły w kierunku odwrotnym do naturalizmu, który przez 5 lat zamykał im usta? Aby wyrazić nierzeczywiste prawdy poszli po środki artystycznej wypowiedzi nie do malarzy pseudo-realistycznych, ale do przedstawicieli kierunków dotąd w sztuce zakazanych jako „formalizm”. To nie ich wina, że musieli tak postąpić.

Zarzut „formalizmu” w stosunku do młodych powtarza się dosyć często. Czemu? Bo obrazy ich nie są podobne do „wzorców” malarstwa ochrzczonego kilka lat temu realizm, bo nie są fotografiami natury, ale przeżyty przez artystę, przełożonym na język sztuki obrazem prawd o świecie.

Miedzy naturalistycznym fotografowaniem świata, a jego artystyczną interpretacją istnieje przepaść. Nawet Aleksander Gieryski nie zawsze potrafił połączyć te rzeczy. Ale w naszej epoce wielkich przełomów i silnych uczuć ludzkich nie można powiedzieć-prawdy, tej głębszej prawdy — jeśli się drobniagowo, spokojnie i dokładnie kopiuje z natury ludzi, zwierząt i przedmiotów. W „Złotej Księdze” Wystawy ktoś napisał: „Minął już czas na poszukiwania... pora na rzetelne malowanie...” Gdzieś tu dialektyka, nauka o rozwoju świata? Czyżby recepty na realizm socjalistyczny miały wyprzeć naukę klasyków marksizmu?

Trudno doprawdy zrozumieć, czemu ludzie socjalizmu, rozumiejący świat i człowieka lepiej, mądrzej, nowocześniej — mieliby się posługiwać w sztuce starym, dziewiętnastowiecznym sposobem formułowania myśli i piękna.

Odbierać artyście prawo do poszukiwań formalnych, prawo do osobistego wypowiedziania powszech-

nych prawd — to nie tylko zamykać mu usta — to jakby ktoś usiłował zatrzymać sztukę w rozwoju.

II

Niezmiernie łatwo jest wykazać zewnętrzne podobieństwo danego dzieła do jakiegoś mistrza — o ile jest choć trochę nawet przypadkowego podobieństwa. Ale kiedy ktoś mówi o obrazie tylko tyle, że jest on naśladownictwem Daumiera — to albo rzeczywiście tam nie ma nic więcej, obraz jest pusty — albo ten ktoś nie umie patrzeć.

Nie twierdzą, że na Wystawie brak jest obrazów pustych, obrazów, których autorzy wśród wymysłowych efektów formalnych nie zbyt dobrze wiedzieli co mają wyrażać ich dzieła. Przeciwnie — takich obrazów jest nawet dosyć sporo. Niech osławiona „Szczęka” Krzysztofiaka posłuży tu jako symbol. Czasem odwrót od naturalizmu poszedł w kierunku secesyjnych dziwotworów (Tchorszewski) lub po prostu wynaturzeń, jak w nader przykrej „Kompozycji” Jasińskiego. Sporo jest dzieł po prostu słabych, których autorzy mieli może wiele co powiedzenia, ale nie jako artyści.

A jednak Wystawa porywa nas właśnie dlatego, że możemy się na niej zatrzymać przed wieloma dziełami, które mają ambicję powiedzenia czegoś widzowi. Czasem — mimo dużych braków w wykonaniu, mimo niezrealizowanych w pełni zamierzeń autora — obrazy przyciągają nas i stajemy się ich zwolennikami.

Barbara Jonscher wprowadza nas w świat piękny i poważny w kolorach, aby ukazać nam pełne samotnych czynów życie Don Kichota.

Gabriela Obremba w poszukiwaniu tak trudnej rzeczy jak wdzięk — w dwóch portretach ponosi chyba porażkę — ale jej „Zosia”, jakże oszczędna w doborze środków wyrazu, każe nam się zamyślić nad urokiem młodej dziewczyny.

Świat „Martwych natur” Dzię-

ziory jest surowy, zastanawia urodą i wyrazem rzeczy prostych.

„Zakochani” Jasińskiej naprawdę mają w sobie niebanalny urok tej zawsze aktualnej sprawy.

Portrety Mellerowicz i Rudowskiej, pejzaże Lebensztajna, Michałowskiego i Halasa — posiadają każdy na swój sposób dar przekonania — a są bardzo różne.

Walory formalne wielu dzieł na Wystawie są niemele — tak, że pod tym względem jest ona daleko bardziej twórczą ekspozycją niż te, które oglądaliśmy przez ostatnie lata. Jednak zwolenników — tych najgorętszych — zdobywa dziełom młodych właśnie ten zawarty w nich ładunek przeżycia, tak różny u każdego z malarzy. Wierzmy w nie dlatego właśnie, że każdy wypowiada się na swój sposób. Różnorodność ujęć, spojrzeń, różnorodność sposobów odczuwania dowodzą, że wśród młodych jest wielu czujących. Poza paroma wyjątkami zawożyczenia formalne są mniej niż powierzchowne. Młodzi artyści mają wiele do powiedzenia.

Kilka lat temu na jednej z polskich uczelni plastycznych postanowiono uzdrowić zatechłą nieco atmosferę twórczą w następujący sposób. Zrobiono długi spis tematów w rodzaju: „Róża Luksemburg przemawia na takim to a takim zjeździe”, „Dzierżyński ucieka z zesłania”, czy „Waryński wśród proletariatchyków” — i powiedziano studentom: malujcie, róbcie boją, mobilizującą sztukę.

Śmieszne, prawda? Czy sama recepta może mobilizować? A jednak dzisiaj jeszcze dla wielu ideowość sztuki polega na beznamiętnym wmalowaniu podobizny bohatera.

Bez wątplenia Wystawa w Arsenale jest dlatego bardziej ideowa

od ogólnopolskiej — bo ideowość to miłość do wszystkiego, co chcemy mieć po naszej stronie, miłość do krajobrazu zamieszkałego przez ludzi, do uroku dziewczyny. Ideowość zjawia się wtedy, kiedy się ma coś do powiedzenia o człowieku, o naszych czasach.

Naturalizm zaś jest moralnie i ideowo obojętny. Wystarczy przemalować mundury i wymowa „realistycznego” obrazu ztłeni się — hitlerowcy będą atakować a GL-owcy uciekać.

Nie przypadkiem chyba posądzają młodych malarzy o związki z ekspresjonizmem (czasem niesłusznie — ekspresjonizm nie jest u nas zbyt znany). Bijące wielkim przekonaniem dzieło Celnikiera ma w sposobie patrzenia na świat wiele elementów tego kierunku, i tak prześladowanego kiedyś przez faszystów właśnie za pierwiastki postępowe.

Czy oskarżycielska wymowa „Napiętnowanych” Oberländera jest nieproporcjonalnie większa od „Pogrzebu partyzanta” Krajewskiej? Dlaczego tak się dzieje? Poprzez powłokę naturalizmu nie mógł się u Krajewskiej przebić żar ideowy, którego niesposób nie dostrzec w obrazie Oberländera.

Mamy prawo uważać Wystawę za przełom właśnie dlatego, że jest na niej wiele obrazów malowanych serio, z uczuciem. Mamy prawo wierzyć w kierunek, jaki nadała młodej plastyce Wystawa — bo nie poszukiwania formalne są treścią dzieł młodych. W wielu płótnach — w tych, które budzą w nas nadzieje — widać treść w poszukiwaniu nowej formy. Wydaje mi się, że dlatego właśnie nie tylko mamy prawo, ale powinniśmy wierzyć w Wystawę, jako pierwszy krok w kierunku plastyki naszych czasów.

Mamy także prawo wierzyć, że w dziedzinie spraw formalnych nie poprzestaną młodzi na trawestacji francuskich prądów jak kapiści, a w oparciu o dorobek całej sztuki nowoczesnej — stworzą nowe środki do wyrażenia nowych treści.

III

Wystawa wywołała wśród plastyków znamieny podział na młodych i starych. Starzy atakują ekspozycję z dwóch stron — a równie namiętnie napadają na nią ci spod znaku „smacznych obrazów”, jak ci spod znaku „realistycznych”. Natomiast młodzi pojęli natychmiast najbardziej dla nich istotną cechę Wystawy — żywość, różnorodność i swobodę w wypowiedzaniu własnych wizji. Zrozumieli, że w malarstwie nareszcie można być sobą. Ożywienie, jakiego przyczyną stała się wśród młodzieży plastycznej Wystawa — wskazuje niezbicie, że młodzi uwierzyli we własne siły.

Jeżeli Wystawa jest dla nas zwycięstwem optymistycznym — nie znaczy to wcale, że stawiamy tylko na Celnikiera, Oberländera, Jonscher, Mellerowicz czy Obrembę. Oni dowiedli, że młodzi mają wiele, co powiedzenia — ale to nie znaczy, że tylko oni stworzą nowe malarstwo. Powinniśmy wierzyć w młodzież jako całość — że sztukę swoją potrafi napędzić żarliwą myślą, że nie da się uwieść pokusom modnej, ale pustej igraszki formy.

I powinniśmy młodzieży plastycznej pomóc — niech nie nosi w sobie niepotrzebnej gorczy, spowodowanej brakiem pracowni i środków do życia, niech czuje się pełnoprawnym, potrzebnym społeczeństwu obywatелеm. Wtedy łatwiej stworzyć będą sztukę godną naszego społeczeństwa.

Czy protest się udał?

Dopiero przy drugim zwiedzaniu wystawy w Arsenale potrafiłam sobie zadać pytanie: co młodzi chcieli powiedzieć tą wystawą, jak dalece udało im się to rzeczywiście wyrazić i jakie perspektywy otwierają prace tu zgromadzone?

Wyraźniej: całokształt wystawy, założenie artystów biorących w niej udział rozumieć (przyjmuję? pojmuję?) jako protest przeciwko „weryzmowi dokumentalnemu”, jako protest przeciwko ostatnim wystawom ogólnopolskim.

Dalej — widzę przed naszym malarstwem współczesnym trzy zasadnicze drogi: 1) malarstwo sztalugowe — przecież dążymy do tego, aby w przyszłości przeciętny obywatel mógł odczuć swoje mieszkanie oryginalnymi obrazami; 2) ilustracje do książek itp.; 3) najważniejsze — malarstwo monumentalne, malarstwo, którego zadaniem jest zdobić nasze wnętrza reprezentacyjne, nasze ministerstwa, domy kultury, malarstwo wychowujące poczucie estetyki u szerokiego odbiorcy.

Choć osobiście uważam, że ten ostatni rodzaj malarstwa jest dla naszych potrzeb, dla naszego rozwoju plastycznego najistotniejszy, wymieniałam go na trzecim miejscu. Najmniej znalazłam w Arsenale obrazów, których twórcy — według mego zdania — podążają w tym kierunku.

Wydaje mi się, że młodzi plastycy swoimi pracami naprawdę zaprotestowali — tylko rzadko w sposób nowy i co najważniejsze, nie zawsze w sposób czysto malarzski. Nie chcą wracać do spraw „wpływologii”, omawianych już chyba wyczerpująco w poprzednich wypowiedziach ogólnoprasowej dyskusji o tej wystawie. Podpisują się całkowicie pod poglądem Andrzeja Jakimowicza wyrażonym w artykule „Kośmopolityzm czy tradycja”. („Przegląd Kult.” nr 36), że nowa twórczość plastyczna nie może i nie powinna powstać z odcinania się od nauk, doświadczeń i wpływów płynących z twórczości innych artystów (zresztą nie ma chyba sensu przeczyć prawdom rozwojowi plastyki w historii). Chciałabym raczej zasygnalizować objaw, który może nosić w sobie pewne niebezpieczeństwa. Otóż wydaje mi

się, że sporo prac wystawionych w Arsenale nosi cechy intelektualnego a nie malarzkiego protestu. Nie chcę mówić tu o gwaszach Brykałskiego, o bigosie à la Zachód — Kupczyńskiego, o jarmarcznej „Karolinie” Kunki i o „Krajobrazie z Kielecczyny” — Mrowińskiego.

EWA WILCZUR

Chcę zwrócić uwagę na „Don Kichota” Barbary Jonscher, w którym, tak samo jak w jej gołębiach widzę ilustrację, spekulację intelektualną, nawet sporą dozę efekciarstwa — ale nie malarstwo. Żeby pozostać przy obrazach już wielokrotnie omawianych: czy Celnikier w swoim zdjęciu z krzyża, czyli „Getcie” (kompozycja niewątpliwie wstrząsająca) wypowiada się środkami malarzskimi? Czy od obrazu nie mamy prawa wymagać więcej niż „szarego sosu”? A „Napiętnowani” Oberländera? Jeżeli to jest obraz — to jakim prawem jego twórca wybiera wyłącznie walor jako środek wypowiedziania się, a rezygnuje z rysunku i z koloru? A „Cebule” — przepraszam Oberländera i Bohdana Czeszko? Mnie osobiście „Cebule” też żadnych wrażeń malarzskich nie dostarczają! A „Rozstrzelanie” Postępskiej — temat tragiczny — ale czy kolor musi być tak nielitościwie twardy, niemalarski? Także Bartłomieja Kurki „An Lungenentzündung gestorben” — trudno, ale dla mnie to nie jest obraz!

I tutaj dochodzę do drugiego pytania, jakie sobie postawiłam — pytania o perspektywach, o możliwościach rozwojowych. Wszystkie wyżej wymienione prace (prócz „Rozstrzelania” Postępskiej o założeniach monumentalnych) noszą cechy ilustracji a nie obrazów. Także bardzo przyjemny w kolorze „Tydzień książki” Stelmaszewskiej Panas wydaje mi się bardziej ilustracją — i to dobrą — niż obrazem. To samo wrażenie odnoszę przy „Starości” Starowieyskiego.

Spśród obrazów typowych dla rodzaju sztalugowego, obrazów, które „chciałabym u siebie powiesić”, obrazów, w których widzę rzetelne wykorzystanie środków malarzskich i równocześnie tę afirmację życia, o którą tylu dyskutantów i tych zwiedzających wystawę się niepokoiło, chciałabym wymienić przede

wszystkim dwa: „Odpoczynek przy drodze” Jadwigi Lebedowicz i „Rybaczówka w Bogaczewie” Stanisława Michałowskiego. Do tej kategorii także należą „Warszawskie gołębie” Mellerowicz, „Kwiatki” Jackiewicza i chciałabym tu wstawić też „Zimę w Kocih Górach” Mazurkiewicza, której bajkowość bardzo do mnie przemawia.

Na koniec chcę mówić o obrazach, w których widzę poważne, dobre możliwości rozwojowe w kierunku malarstwa monumentalnego. Przede wszystkim „Matki” — Andrzeja Wróblewskiego. Widzę w tym obrazie i tendencję do uczciwego rysunku, kompozycję monumentalną, a przy tym zwartą, i prawdziwie malarzkie — choć miejscami szokujące — użycie koloru. Chyba autor „Matek” — chociaż do mnie osobiście tak bardzo przemawia „Odpoczynek przy drodze” Lebedowicz — idzie w kierunku dla naszego współczesnego malarstwa najistotniejszym, jest odważny, nie boi się ani dużych płaszczyzn, ani żywych, czystych kolorów, a afirmacja życia u niego wynika chyba nie tylko z „pokojowego” tematu. Odwagę w użyciu koloru i płaszczyzn widzę także w „Zakochanych” Janiny Jasińskiej, choć ujęcie tematu wydaje mi się nieco dziewiętnastowieczne. „Kogut” Gleba? Może umieszczenie go w tym miejscu jest nieco nadciągające, ale mówię to dlatego, że widziałam inne „Koguty” i inne prace Gleba i wiem, że od Gleba mamy prawo oczekiwać wiele. Myślę, że i „Śmierć Belojannisa” — Kwasniewskiego, pomimo reminiscencji El Greco-wskich obiecuje dalsze ciekawe prace i rozwiązania. Może także coś pozytywnego wyjdzie z autora „Pamiętamy” — Franciszka Pikuty. Wiem, że powinien w tym miejscu napisać o „Podwójnym portrecie” Strumiły — bo założenie jego jest monumentalne, bo to jest obiecujący malarz — ale cóż, kiedy ja osobiście ani na jego żółto-zielonkawo-szary sos, ani na jego sentymentalizm nie mogę powiedzieć uczciwie „tak!”.

Reasumując śmiem twierdzić, że młodym plastynom ich protest przeciwko weryzmowi dokumentalnemu na ogół się udał, przeciwko „szaremu sosowi” OWP — jeszcze nie zawsze. Widać w Arsenale, że posiadamy młode talenty, widać, że możliwości rozwojowe są poważne by bardziej świadomie dopracowywali się tego, o co im chodzi. Co pragnę wypowiedzieć, i aby uczynili to — jeśli są malarzami — malarzskimi środkami.

nasza wystawa

LECH ZAHORSKI

Warszawa
absolwent „Abbaye
de la Cambre”
(Bruksela)

Dekoracja na wieczór
poezji Gałczyńskiego

(Teatr Ateneum,
Warszawa)

Projekt dekoracji
do „Harnasi”
Szymanowskiego



